ROK III LISTOPAD 1931 NR. 11

PRZESZŁOŚĆ

CZASOPISMO HISTORYCZNE DLA WSZYSTKICH

WYCHODZI CO MIESIĄC POD REDAKCJĄ PIOTRA ŻUKOWSKIEGO

Kiedy Anglja i Francja zaczęły przewidywać napad Niemców.

W olbrzymich tomach, zawierających dokumenty angielskie, dotyczące przyczyn Wojny Światowej, zgromadzone są dowody baczności i dalekowzroczności polityków państw, zagrożonych przez Niemcy już w końcu w. XIX. Pod wpływem króla Edwarda VII udało się usposobić przyjaźnie Włochy i Hiszpanję, którą przypuszczono do podziałów Marokka. W r. 1904 min. spr. zagr Anglji Landsdowne poleca ambasadorowi w Paryżu oświadczyć Delcassé'mu, że Niemcy prawdopodobnie zażądają dla siebie portu w Marokko. „Wówczas okażemy Francji wszelkie możliwe poparcie". Odtąd stale Anglja zapewnia Francję, że będzie zawsze przy jej boku pomagać zwalczaniu pretensyj niemieckich. Landsdowne podczas rozmowy z francuskim ambasadorem Cambonem wzmacniał moralnie Francję i oświadczył mu, że Anglja ma obawę, by Francja nie dała się wywieść w pole czy ugłaskać przez Niemcy ustępstwami w sprawach kolonjalnych i nie poczyniła Niemcom niemiłych dla Anglji ustępstw. Gdy Niemcy w r. 1905, korzystając z osłabienia Rosji, zwyciężanej stale przez Japończyków, zagrozili Francji wojną, jeśli Delcassé nie zostanie usunięty ze stanowiska ministra spraw zagranicznych, w Anglji wzmógł się wrogi stosunek do Niemiec i przyjazny względem Francji. Gdy w tym samym roku 1905 konserwatywne rządy zastąpione zostały liberalnym gabinetem E. Greya, rozpoczęły się narady Anglji z Francją i Belgją w sprawie oczekiwanej wojny z Niemcami. Ang. generał Grierson otrzymał polecenie opracowania wspólnie z francuskim attaché wojskowym planu działań wojennych w obronie przeciwko Niemcom. Jednocześnie Grey pisał ambasadorowi ang. w Paryżu, że „w razie wybuchu wojny francusko-niemieckiej z powodu Marokka nie pozostaniemy obojętnymi, lecz weźmiemy w niej udział po stronie Francji. Lord Admiralicji (minister marynarki) oddawna przygotował plan wspólnego działania flot obu narodów". Tegoż dnia Grierson polecił ang. attaché wojskowemu w Brukselli porozumieć się dokładnie z Belgami co do tego, jak najskuteczniej Anglicy mogą dopomóc im do obrony neutralności. Szef belg. Sztabu generalnego został zawiadomiony, że w razie potrzeby Anglja przyśle 105000 żołnierzy i celem zabez-

pieczenia wybrzeży może urządzić w Antwerpji bazę dla swej floty. Działo się to w r. 1906 i następnych. Do wojny nie doszło, bo w sprawie marokańskiej nastąpiło porozumienie. Grey uważał, że bez pozyskania Rosji rozprawa z Niemcami będzie ryzykowną. Król Edward VII uważał również sojusz z Rosją za konieczny, rozmawiał na ten temat z Benckendorfem, posłem rosyjskim w Londynie i z Landsdorfem, ros. min. spraw zagr., który oświadczył, że ten sojusz jest marzeniem całego jego życia. Edward VII był bardzo zasmucony wybuchem wojny ros.-japońskiej. Japonja była sojuszniczką Anglji. Opinja angielska stawała się wrogo usposobioną względem Rosji, zwłaszcza po zbombardowaniu przez Admirała Rożdiestwieńskiego ang. flotylli rybackiej, która wzięta była przez oszalałych Rosjan za eskadryllę torpedowców japońskich. Z tego powodu ledwo nie doszło do wojny angielsko-rosyjskiej (r. 1904—1905). Edward VII nie szczędził wysiłków, by doprowadzić do porozumienia z Rosją. W r. 1904 spotkał on w Kopenhadze posła rosyjskiego Izwolskiego i przekonywał go o konieczności przyjaznego załatwienia wszelkich nieporozumień między Rosją a Anglją. Izwolski ułożył dla rządu brytyjskiego memorjał w tej sprawie. Edward kazał przesłać go ministrowi spr. zagr. Landsdownowi i premjerowi Balfourowi i zachować w tajemnicy. Tak samo na własną rękę, bez porozumienia się z gabinetem ministrów, odbył o rok przedtem podróż do Paryża, której celem było porozumienie z Francją. Rosja wyraźnie orjentowała się przeciw Niemcom. W maju 1904 Mikołaj II pisał Edwardowi, że sojusz z Anglją jest jego gorącem pragnieniem. Nie pomogła słynna próba Wilhelma oderwania Rosji od Francji przez podpisanie w r. 1905 słynnego układu przyjaźni z Rosją w Björke. Rozgromiona przez Japonję, Rosja oburzona była na wzrost znaczenia Austrji na Bałkanach i popieranie tej polityki przez Niemcy. Podejrzanem wydawało się parcie Niemców ku Persji i kolej bagdadzka. Izwolski został mianowany ministrem spr. zagr. Ambasadorem ang. w Petersburgu został Nicolson, wykonawca zamiarów Edwarda. W Londynie Harding urabiał odpowiednio min. spr. zagr. Grey oświadczył, że należy nawiązać dobre stosunki z Rosją i zaniechać dawnej polityki, która polegała na zamykaniu cieśnin i zwalczaniu Rosji na każdej konferencji międzynarodowej. Obiecał też, że bez Rosji i Francji nie będzie zawierał porozumienia z Niemcami w sprawie kolei bagdadzkiej. Izwolski prosił Greya uwzględniać niedostateczne przygotowanie Rosji i nie przyśpieszać tempa wypadków. Decydującym momentem w opanowaniu Rosji była wizyta Edwarda VII w Rewlu w r. 1908. Z nim przybyli znakomici organizatorzy armji i floty French i Fisher i przekonywali Rosjan, by zaniechali odbudowywania zniszczonej floty, natomiast cały wysiłek skierowali na takie wzmocnienie armji, by po latach 7—8 mogła ona być decydującą siłą w Europie. W ten sposób starano się zapobiec zbrodniczemu zamiarowi Niemiec rozgromienia sąsiadów znienacka.

ZATOPIENIE „LUZITANJI".

Amerykanin Thomas odszukał w archiwum niemieckiego sztabu generalnego dziennik komendanta łodzi podwodnej, która zatopiła w r. 1917 olbrzymi parowiec osobowy amerykański „Luizitania" z przeszło tysiącem pasażerów. „O g. 2,35 ujrzałem olbrzymi statek — czytamy w tym dzienniku — Gdy byliśmy na odległości 700 metrów, wypuściliśmy minę na głębokości 3 metr. Wybuch był potworny. Potem pożar. Olbrzym zaczął się chylić. Za kilka minut pogrążył się w morze. Panika. Opuszczają nadmiernie przepełnione łodzie, które wnet przewracają się i toną." Nie czekając końca tego widowiska, łódź ruszyła zpowrotem. Wilhelm był poirytowany piorunującem wrażeniem, które w całym świecie wywarła ta zbrodnia i zażądał specjalnego sprawozdania. Komendant działał według rozkazu zatapiania wszystkich amerykańskich statków. Zbrodnia ta była ostatnią kroplą, która przepełniła kielich goryczy w Ameryce i zdecydowała o wystąpieniu St. Zjedn. przeciwko Niemcom.

P. Ganżyński

Z historji stosunków angielsko-chińskich

W r. 1840 wybuchł zatarg Anglików z Chinami z powodu handlu opjum. Rząd chiński zakazał przywozu tego zgubnego narkotyku, który czynił straszliwe spustoszenia wśród ludności. Angielscy kupcy, przywożący opjum z Indyj, nie zważali na ten zakaz. Zwłaszcza Wschodnio-Indyjska kompanja ciągnęła ogromne zyski z tego niecnego procederu. Była to niezmiernie potężna organizacja, która właściwie rządziła całemi Indjami i miała poparcie parlamentu londyńskiego. Rząd angielski nie zważał na skargi Chińczyków. Wówczas oni zarządzili rewizję na wszystkich statkach angielskich w swych portach i skonfiskowali opjum. Anglicy wszczęli wielki hałas, oskarżyli Chińczyków o obrazę sztandaru brytyjskiego i rozpoczęli wojnę. Przewyższając niezmiernie swą techniką prymitywnie uzbrojonych, chociaż walecznych przeciwników, Anglicy zwyciężyli i narzucili haniebne warunki pokojowe. Oprócz kontrybucji w wysokości 5 i pół mil. funtów, odebrano Chińczykom wyspę Hong-Kong, na której Anglicy zbudowali fortecę i utworzyli gniazdo przemytników opjum, którego nibyto na mocy tego traktatu nie wolno było sprzedawać. Wskutek tego wybuchły dwie następne wojny w r. 1856—1859. Pod pretekstem ukarania żółtych za zamordowanie kilku jeńców, Anglicy zdobyli Pekin, spalili cudowną letnią rezydencję cesarza, zajmującą kilka kilom. kwadratowych i mieszczącą w swych murach pałac, ogrody, świątynie, tarasy i groty. Nagromadzone tu były w ciągu stuleci niezmierne skarby artystyczne: posągi, hafty, broń, obrazy. Wszystko to padło ofiarą ognia. Bezgraniczna bezczelność i okrucieństwo białych ujawniło się jeszcze wymowniej. Anglicy postawili na miejscu swej zbrodni pomnik z napisem

chińskim, oznajmującym, że tak zostały ukarane zdrada i złość tubylców. Zmuszono Chińczyków otworzyć dla handlu wszystkie swe porty. W r. 1860 Kanton, położony w pobliżu Hong-Kong, zostaje również posiadłością Anglików. *P. Żukowski*

Wojna chłopska w Niemczech 1525 r.*)

Ze wszystkich stron zdążały do obozu tłumy obładowanych zdobyczą chłopów, by tu w bezpieczeństwie zostawić narabowany dobytek. Za nimi sunęły ciężko naładowane wozy pod komendą barczystego jeźdźca. Gdy zajechano na plac obozowy, gruchnęła wieść: „Braciszek Pheiffer będzie dzielił zdobycz, zabraną w klasztorze Reiffenstein. Ponieważ sam był tam mnichem, więc zapewne zdoła wybrać dla siebie najlepszy kąsek!“ Chciwie tłoczono się przy wozach. Były mnich stanął na jednym z nich i jął rzucać łup tym, którzy z nim plądrowali klasztor. Jeden złapał tłustą szynkę, inny srebrny lichtarz z ołtarza; latały w powietrzu kiełbasy i boczki wędzone. Z trudem zdjęto dwa dzwony. Ciężko spadały na ziemię wory mąki i zboża; toczyły się po piasku zepchnięte beczki z winem. Chłopi wydzierali sobie naczynia i ornaty. Jakieś chłopisko zarzuciło sobie na plecy wzorzysty ornat i paradowało w nim jak paw. Rozlegały się przekleństwa i złorzeczenia, głosy wściekłości i zazdrości. Gdy wszystko zostało rozdane, Pfeiffer kazał wrzucić do ognia obrazy, księgi i naczynia kościelne. Patrząc, jak ogień pożerał znienawidzone przedmioty, wywijał pastorałem opata, poczem złamał symbol władzy pasterskiej i rzucił na stos ze słowami: „Niech tak skończoną zostanie wszelka władza na ziemi, by mogło zapanować prawdziwe Królestwo Boże!“ Długo jeszcze chłopi gardłowali, zalewając się piwem i winem. Niektórzy wdziali płaszcze mnichów i ornaty i rozpoczęli pląsy dookoła stosu przy dźwiękach dzikiej muzyki.

Pfeiffer wszedł do namiotu swego przyjaciela Muenzera, który zajęty był pisaniem przy naprędce skleconym stole sosnowym. Przed nim w nieładzie piętrzył się stos papierów, zwojów pergaminowych i druków. Pióro gęsie w ręce proroka energicznie skrobało pergamin. Pfeiffer pomyślał z ironją: „Zapewne w jego głowie takiż chaos, jak na stole!“ Piszący nie usłyszał powitania. Jego wąskie, kościste ręce z zapałem pracowały nad pisaniem listu. — Twarz przy bladem świetle wyglądała trupio-białą; usta szeptały urywane zdania: „Naprzód, naprzód, naprzód! Bóg nas prowadzi, idźcie za nim. — Wszak napisano: „Nie obawiajcie się wielkich zastępów, gdyż to Bóg walczy z nimi, a nie wy! Naprzód, ukochani bracia!“ Gdy rozogniony fanatyk poczuł na swem ramieniu ciężką rękę przybysza, krzyknął oburzony: „Poco niepokoisz wybrańca bożego! Czy nie wiesz, że przemawia do mnie Duch Św., a ja muszę zapisywać jego słowa?“ Prorok podniósł się gniewnie; zadzwonił łańcuchem, którym przymocował do pasa Biblję. Na wychudłej twarzy żarzyły się czar-

*) Patrz nr. 10

ne oczy, których wzrok przeszywał Pfeiffera. Ten rzekł spokojnie: „Przyniosłem nowe pismo fałszywego proroka z Wittenbergi — czytaj:!" Muenzer chwycił pergamin i czytał: „Przeciwko zbójeckiej tłuszczy chłopskiej pismo Marcina Lutra, napisane po zbrodni, dokonanej w Weinsbergu w r. 1525." Prorok zgiął się jakby pod uderzeniem bata i opuścił się na ławę.

„Co? On nazywa nas wściekłemi psami, które popełniają czyny djabelskie, a mnie djabłem nad djabłami, który urządza same mordy, przelew krwi i rabunki!?" Prorok zacisnął wąskie usta i milczał. Pfeiffer czytał dalej: „Chłopi popełnili trzy rodzaje zbrodni przeciw Bogu i ludziom, za co wielokrotnie zasłużyli na karę śmierci na ciele i duszy. Po pierwsze, wystąpili przeciw zwierzchności, która jest od Boga. Władze muszą zwyciężyć, ponieważ mają czyste sumienie. Słyszysz, Tomaszu, władza ma być od Boga i nie ma sobie nic do zarzucenia, nawet jeśli katuje nas, obdziera ze skóry i krew z żył wyciska". Tomasz Muenzer tak jadowicie zaśmiał się, że Pfeiffer nawet się żachnął. „Cha, cha, cha! Czekaj ty, papieżu wittenberski, sługusie książęcy, judaszu przeniewierczy. Budujesz nową klatkę dla wiary. Biada ci. To nie ja mówię, lecz Bóg głosi przez me usta". Muenzer wyprostował się, wychudła postać wyprężyła się, kościste ręce drapieżnie chwytały coś w powietrzu. Po chwili opadł na ławkę i pałającym wzrokiem przebiegał bezczeszczącą go pisaninę. „Po drugie — chłopi dopuścili się mordów i grabieży; po trzecie — służą szatanowi pod pozorem wierności Pismu Św. Niema nic bardziej trującego, szkodliwego i djabelskiego od zbuntowanego chłopa; dlatego należy go tłuc, siec i zabijać jak wściekłego psa podstępem i jawnie". Muenzer trząsł się jak we febrze. Ponsowe plamy wykwitły na jego policzkach, cisnął pismo na kupę papierów i zawołał z płomieniem w oczach: „Trąba pańska zagrzmiała. Nadszedł dzień Sądu. Prorok Jeremjasz rzekł: „Niech będą przeklęci ci, co nie słuchają rozkazu Bożego". Niech będzie przeklęty ten fałszywy papież z Wittenbergi, gdyż Bóg oznajmił w 38 psalmie, że święci powinni chwycić ostre miecze i wywrzeć zemstę i wykonać karę. Oni powinni zakuć królów w łańcuchy, a książąt w kajdany. Przyjacielu, nasz dzień nadszedł. Jutro prowadzę wojsko do walki, by dopomóc naszym braciom we Frankenhausen". — „Jakto, — zawołał Pfeiffer, — chcesz porzucić na pastwę losu Muelhausen, moje wspaniałe miasto rodzinne. Nieszczęśliwi mieszkańcy wyginą od miecza okrutnych rycerzy". — „Cóż mnie obchodzi jedno miasto. Cały kraj czeka na mnie." — „Głupio, Tomaszu, opuszczać mocne mury miejskie i rozpoczynać walkę w szczerem polu". — Odejdź szatanie, nie kuś mię! Bóg wszędzie otacza opieką swych wiernych i miażdży ich wrogów". — „Idźże, opętańcze, na złamanie karku, — zawołał rozgniewany Pfeiffer. Ja zostanę tu i będę czekał twego rychłego powrotu!"

Gdy prorok został sam, zajął się pisaniem listu do sprzymierzonych miast, które prosił o przysłanie posiłków i wzywał do wytrwania w wierze.

Pisanie szło opornie. Duszę miał niespokojną. Dlaczego przyjaciel nazwał go opętanym? Wzburzony chodził po swym namiocie. Czyż on nie jest wybrańcem Pana Niebios? Czyż on się porwał na zbyt wielkie rzeczy? Czyż mu się nie uda wyzwolić lud z niewoli? Nie! Bóg spełni swą obietnicę i „udzieli zwycięstwa nad wszystkimi przeciwnikami". Wyszedł z namiotu i chłonął świeże nocne powetrze. W obozie panowała cisza. „Oni śpią i ufają mocy swego wodza. Ich życie jest w mym ręku" — szepnął przejęty świadomością zbliżającej się rozstrzygającej bitwy. Raptem wydało mu się, że jakiś głos pyta go: „Czy jesteś prorokiem, wybrańcem Bożym?" Muenzer zadrżał. D. C. N.

Reformatorskie pomysły Lotscherta

Nacjonalistyczni w przygniatającej większości nauczyciele historji w Niemczech atakują interesujące i sympatyczne projekty Lötscherta, owianego duchem humanitarnym i dążącego do wychowania młodych pokoleń w duchu zgodnej współpracy ludów. Podstawowym faktem naszych czasów jest Liga Narodów, która pragnie zamiast chaosu, panującego wśród ludzkości, stworzyć kosmos i przyzwyczaić do metod pokojowych, opartych o prawo i współdziałanie. Podręczniki historji powinny być tak napisane, by na pierwszym planie została uwydatniona współzależność narodów i dany został obraz całego świata. Punkt ciężkości powinien być przeniesiony na dzieje całej ludzkości. Nie należy być adwokatem swego narodu, to znaczy nie należy bez miary bronić go i zajmować się drobiazgami własnych dziejów ze szkodą dla wielkich zasług i zdobyczy innych narodów. Nauczyciel, który najwyższy cel widzi, jak Hegel, w utworzeniu państwa narodowego, jest szkodnikiem. Nowe podręczniki powinny rozwinąć zmysł powszechności interesów i obowiązków, to znaczy przekonać ucznia, że on ma obowiązki nietylko względem swego narodu, lecz całej ludzkości, i że on powinien czuć przyjaźń do innych narodów. Przy omawianiu wieków średnich należy uwydatnić rolę wzniosłej idei „Res publica christiana", która łączyła narody średniowieczne w poczuciu chrześcijańskiej solidarności i we wspólnym kulcie międzynarodowych autorytetów — papieża i cesarza. W nowych podręcznikach należy wytrzebić uczucia złośliwości, nikczemnej radości, która polega na uwydatnianiu nieszczęść lub wad innych narodów. Należy uniknąć ogólnych charakterystyk, które są nienaukowe, bezwartościowe i kłamliwe. Nie wolno mówić o obcym narodzie tak, jakgdyby on był jednolitą masą. Należy uwydatnić w nim i osobno scharakteryzować różne warstwy, nieraz zwalczające się i wrogie sobie lub całkiem niepodobne do siebie, np. żebraków, bezrobotnych, warstwy upośledzone, cierpliwych cierpiętników, stronnictwa opozycyjne, mniejszości sympatyzujące z Niemcami i t. d. Uwydatniajmy na lekcjach historji, woła Lötschert, to, co narody mają wspólnego w dziedzinie pojęć prawnych i poglądów społecznych i gospodarczych. Unikajmy natomiast podkreślania tego, czem się różnią od nas narody pod względem przyzwyczajeń życiowych, charakteru, zapatrywań artystycznych i wierzeń religijnych. Należy wzbudzać odrazę do jeszcze potężnych makjawelistycznych pojęć o państwie i polityce i dążyć do wytworzenia nowej moralności między narodami. Trzeba zerwać z dawną szkodliwą frazeologją, pełną wyrażeń: „wrogi naród" i t. p. Należy zastąpić je słowami: „wrogi względem nas rząd, ówczas stojący u steru, jako przedstawiciel ówczesnej większości, ogłosił nam wojnę" i t. p. W taki sposób należy przedstawiać zatargi zbrojne między narodami. Przy omawianiu spraw rozbrojenia i mniejszości należy posługiwać się metodą retrospektywną i przedstawiać te zagadnienia w poprzednich fazach. Poleca się uwzględnienie projektów i utopij przebudowy ludzkości, gdyż one są dowodem, że nigdy nie brakło myślicieli, którzy wbrew przerażającej

rzeczywistości wierzyli w możliwość zorganizowania ludzkości. Okres po r. 1920 przedstawiajmy jako całkiem nową epokę w dziejach ludzkości. Specjalną uwagę poświęcić należy wojnie i wojowniczości, kładąc nacisk na to, że państwo stopniowo zakazywało wojen między poddanymi, miastami, plemionami i wyznawcami różnych religij. To daje podstawę do wiary w zaniechanie wojen wogóle. Należy szczegółowo zastanowić się nad skutkami wojen, któremi są rewolucyjne wybuchy, wydalenie ludzkości z zajętych terytorjów, pogorszenie waluty, zubożenie i t. p. Nie wolno pomijać tych objawów w życiu własnego narodu, które wzbudzają boleść i wstyd. Bez rozbudzenia podobnych uczuć niepodobna przyczynić się należycie do uzdrowienia własnego narodu.

Należy gruntownie zrewidować ocenę różnych narodowych „bohaterów", którzy nieraz stoją na drodze do osiągnięcia powyższych celów. Zaznajamiajmy młodzież z bohaterami innych krajów, zachęcajmy do najusilniejszego współdziałania w postępie całej ludzkości. W zakładach pedagogicznych młodzież powinna otrzymać dostateczne wiadomości z zakresu ustroju państwowego, prawa międzynarodowego i gospodarstwa światowego. Celem przeprowadzenia powyższej reformy należy obrać komisje narodowe, które będą uzgadniały na zjazdach międzynarodowych swe plany i postulaty z poglądami innych komisyj.

Możemy życzyć powodzenia zacnemu Niemcowi, lecz mocno wątpimy, czy się doczekamy podobnej reformy. Szkolnictwo niemieckie dąży coraz bardziej do zezwierzęcenia młodzieży, do zbudzenia w niej zbójeckich i nieludzkich uczuć przedewszystkiem względem nas. Czy jest do pomyślenia sytuacja, by w szkołach niemieckich przedstawiano postępowanie względem nas po rozbiorach, a zwłaszcza po r. 1880, jako największą zbrodnię w dziejach ludzkości!?

P. Żukowski.

Wspomnienia z lat 1914 - 1918 r.

Wojna światowa rozpoczęła się 1 sierpnia 1914 r. Wszystkie gazety rozgłaszały tę wiadomość, ludzie mówili na ten temat bez końca.

Wojna! Co to jest wojna?

Uczyłam się w historji o różnych wojnach, o ich przyczynach, powodach i skutkach, lecz teraz nie umiałam zdać sobie sprawy z faktu dokonanego. Co robić? jak postąpić?

Wydawało się nam wszystkim, że wróg do nas nie dotrze, dwór bowiem znajdował się w zapadłym kącie mińskiej gubernji, daleko od głównego przemarszu wojsk.

Mobilizacja zadziwiła mię. Żal mi było ludzi i koni, które zabrano.

Rok cały przeszedł w spokoju. Tylko złowrogie, czasem bolesne wieści, podawane z ust do ust lub przeczytane w gazecie, napełniały serca nasze trwogą, bólem i złemi przeczuciami.

Jesień roku 1915 przyniosła dużo niepokoju. Niemcy pędzili wojska rosyjskie z pod Jezior Mazurskich. Niektóre oddziały zachodziły i do nas. Pamiętam, że dwie doby stali we wsi Kozacy, a czterech oficerów lokowało się we dworze.

Szczególnie utkwiła mi w pamięci postać kapitana. Niewysoki, szczupły ten człowiek miał bardzo bystre oczy. Mówił dużo pewnym, stanowczym

głosem. Najwyraźniej przepowiadał rewolucję. Mówił o złej organizacji wojska, o wielkich brakach, o kompletnem nieprzygotowaniu się do wojny.

Tej samej jesieni ciągnęły masy uciekinierów. Do nas zajrzało kilka rodzin z Łomżyńskiego. Cztery rodziny zostały u nas na stałe, ludzie ci bowiem nie wiedzieli, co ze sobą począć, a tu na miejscu dostali mieszkanie w czworakach i pracę.

Ekonoma naszego, Szymona, w tym czasie wzięto do wojska, stryj więc oddał zarząd majątku uciekinierowi z Kowieńskiego.

W pogodne wrześniowe wieczory siadywaliśmy na ganku, podając sobie bieżące wiadomości, a patrząc w gwiaździste niebo, szukaliśmy na niem znaku, któryby wskazał zakończenie wojny. Wieczorem też razu pewnego usłyszeliśmy dalekie ale wyraźne wystrzały armatnie.

A więc zbliżają się.

Trzeba opuścić rodzinne pielesze i uciekać, gdzie oczy poniosą. Zostawić te drogie kąty, a iść na tułaczkę.

We dwa dni potem dowiedzieliśmy się, że to Niemcy zdobyli Baranowicze, że się dalej nie ruszą, że robią w Baranowiczach wspaniałe betonowe okopy.

Odetchnęliśmy. Można więc pozostać, narazie nie trzeba nigdzie wyjeżdżać.

W roku 1916 po raz pierwszy usłyszałam słowo „bolszewik“. Różne komentarze krążyły dokoła tego wyrazu, ale właściwie nikt dobrze go nie zrozumiał. Z głębi Rosji przenikały ideje bolszewickie ale bardzo powoli. Imię Kiereńskiego wypłynęło niespodziewanie. Mało kto wiedział coś więcej o tej postaci. Krążyły o nim wieści prawdziwe i nieprawdziwe.

Zima tego roku t. zn. 16/17 zeszła bardzo spokojnie, ale ten spokój był zapowiedzią czegoś złego, okropnego.

Nagle w końcu lutego 1917 r. wiadomość pewna, przeczuwana oddawna — rewolucja w Rosji!

Radość z jednej strony, obawa z drugiej trapiła ludzi. Zdawało się narazie, że będzie lepiej, że zacni ludzie staną na czele rządu.

Dobrze, że carat już nie będzie gnębił!

Nadzieje zawiodły. Z frontu na wieść o rewolucji w Petersburgu zaczęło przybywać coraz więcej żołnierzy — dezerterów, którzy już żadnej władzy słuchać nie chcieli i masowo wracali do wsi rodzinnych, szerząc w nich bolszewickie ideje.

Dwór nasz znajdował się o ćwierć km. od wsi i był solą w oku tych ludzi (starzy gospodarze żyli z dworem w zgodzie).

Latem włościanie próbowali kosić dworskie łąki, ale ostatecznie podzielili się z nami sianem. W jesieni stado wiejskie pasło się parę razy na dworskiej koniczynie, jednak nie spowodowało to większego zatargu.

Z sąsiednich dworów i dworków zaczęły dochodzić wiadomości — o pogromach. Spodziewaliśmy się, że i nas on nie minie, ale nie przeciwdziałaliśmy temu. Nie wiedzieliśmy, co przedsiębrać. Stryj (może o jego głowę najbardziej chodziło) wyjechał do Mińska, ale ja z babką zostałyśmy w naszym kresowym dworze.

Szymon wrócił z wojska i objął urząd ekonoma. Był to człowiek o niezdecydowanym charakterze, sam nie wiedział, jak ma postąpić: czy z ogólnym prądem iść ręka w rękę z młodem pokoleniem ze wsi, czy też służyć wiernie dworowi. Ostatecznie stanął na stanowisku, że trzeba być przyjacielem i wsi i dworu.

Od niego też dowiedziałam się pewnego listopadowego ranka, że wieś zamierza utworzyć komitet, który będzie rządził dworem. Po paru dniach rzeczywiście zjawiło się czterech młodych gospodarzy ze wsi, którzy mi kazali oddać klucze od śpichrza, obory, stajni i t. d. Komitet wspaniałomyślnie pozwolił korzystać z mleka od jednej krowy, dawał niewielką ilość ziemniaków i mąki. Pewnej ilości ptactwa nie oddałam im: przeznaczyłam je do naszej dyspozycji. Komitet był oburzony mojem postępowaniem i kazał Szymonowi zawiadomić mię, że za rznięcie kur i kaczek gardłem odpowiem. Nie miałam nic lepszego do stracenia, więc co kilka dni jeden ptak padał pod nożem. Komitet starał się ograniczyć potrzeby babki i moje do minimum i codzień prawie czegoś zabraniał.

Nie wychodziłam na dziedziniec, żeby nie spotkać kogoś z komitetu lub własnej służby, która teraz służyła komitetowi.

Co zrobiono ze zbożem lub mlekiem, po dziś dzień zostało dla mnie tajemnicą. Sądzę, że jeden przed drugim kradł i w ten sposób marnował mienie, które z trudem zebraliśmy latem.

W niespokojnym, trwożnym, przygnębiającym nastroju przeżyłam z babką grudzień i styczeń 1918 r. W końcu stycznia komitet rozkazał wynieść wszystkie meble z salonu i powiedział, że w tym pokoju będzie mieścić się szkoła. (Budynku szkolnego we wsi nie było, chociaż stryj mój przed kilku laty dał odpowiedni kawał gruntu i drzewo na budowę, wieś bowiem je rozkradła).

Nauczycielkę, która przez parę lat sumiennie pracowała, wydalono, a na jej miejsce wynajęto nauczyciela, jakieś podejrzane indywiduum, który słabo czytał i pisał (takie wersje o nim krążyły, osobiście nie znałam go).

Do opróżnionej sali wstawiono ławki, ustawiono stół i tablicę i nauka rozpoczęła się. Dzieci wrzeszczały i stukały niemożliwie. Stłukły kilka szyb w oknach. Komitet nie poczuwał się za to do odpowiedzialności.

Babce mojej ta szkoła dała się okropnie we znaki. Biedaczka nie mogła sypiać. Hałas denerwował ją bardzo. Wogóle sąsiedztwo tej bolszewickiej młodzieży było bardzo niemiłe.

W końcu lutego wbrew zarządzeniu komitetu, nie pytając nikogo o pozwolenie, kazałam fornalowi zaprząc konie, gdyż postanowiłam jechać do Mińska, aby rozmówić się ze stryjem i robić starania o usunięcie szkoły ze dworu. Wogóle czułam potrzebę wyjechania, otrząśnięcia się z tej przygnębiającej atmosfery.

Komitet nie sprzeciwił się, konie zaszły pod ganek. Wczesnym rankiem o szarym świcie wyruszyłam. Cisza i spokój był na Bożym świecie. Ołowiane chmury przesuwały się powoli po niebie. Wiatru nie było. Sanie mknęły po ubitej drodze. Biała pustynia otaczała mię dokoła.

Na głównym trakcie czasem spotykaliśmy jakieś sanie, ale wogóle i tu panował spokój. A były to przecież dni wielkiej wagi: wszyscy Polacy w Mińsku i okolicy żyli nadzieją przybycia gen. Dowbor-Muśnickiego z Bobrujska, a chwila ta byłaby chwilą wyswobodzenia się z trzech-miesięcznego jarzma bolszewickiego. Mówiono też o okupacji mińszczyzny przez Niemców, nie wiedziano jednak dokładnie, kto się zjawi w Mińsku.

Przebyłam w mieście dwie doby. Brak pokarmu dla koni zmusił mię do wyjazdu. Sytuacja jeszcze nie była zupełnie wyjaśniona, jednak spodziewano się już Niemców. Wyjechałam o godzinie 10-tej. Mówiono mi potem, że o godz. 12-tej jednocześnie do Mińska przybył pociąg z Niemcami, wszedł oddział niemieckiej piechoty i trzy samoloty niemieckie zaczęły krążyć nad miastem. W ten sposób zaczęła się okupacja.

W powrotnej drodze spotkałam oddział ułanów amarantowych, a potem żółtych. Serce mi biło ze wzruszenia na ich widok. Nasze polskie wojsko! — Jechali w kierunku Bobrujska, wiedzieli już bowiem, że do Mińska przyjdą Niemcy. Jakiż żal, że nie korpus Dowbora opanował miasto!

Minęliśmy jakiś zakręt, potem drugi i wtem ujrzałam oddział piechoty niemieckiej. Szli czwórkami, równym pewnym krokiem, odziani jednakowo. Na głowach mieli pikielhauby, które widziałam po raz pierwszy.

Chociaż już zrozumiałam, że Niemcy będą nami rządzić, cieszyłam się: nie będę miała do czynienia z bolszewikami.

Wracałam w dobrym nastroju do domu. Czekano na mnie z obiadem, do którego zasiadłam z wielkim apetytem. Babce opowiedziałam o tem, co słyszałam w Mińsku, czemu się przysłuchiwała zacna kucharka, Anna. Zaraz po obiedzie zjawił się Szymon i pachciarz. (żyd) Obaj byli badzo zainteresowani. Mówiłam z nimi niechętnie, półsłówkami.

Nagle słyszeliśmy pukanie do drzwi frontowych, przez które nie chodziliśmy od czasu zainstalowania się szkoły w salonie. Anna poszła zobaczyć, co się dzieje, i po chwili wprowadziła dwóch niemieckich żołnierzy. Czuli się strasznie nieswojo, bo z nikim nie mogli się rozmówić. Gdy im odpowiedziałam po niemiecku, wielka radość rozjaśniła ich twarze.

Gawędzili chętnie, jedli dużo. Powiedziałam im, że we wsi są bolszewicy, a w naszym domu znajduje się ich szkoła. Byli oburzeni. Obiecali dać znać o tem swej władzy.

Trzeba ich było przenocować. Nie miałam innego lokum, kazałam więc w salonie czyli szkole przygotować pościel.

Nazajutrz zrana przez okno ujrzałam taki obrazek: Ze wsi biegły dzieci, a za niemi szedł, utykając, nauczyciel (był kulawy). Już dochodzili do ganku, gdy nagle drzwi się otworzyły, a w nich stanęło 2-ch niemieckich żołnierzy. Przerażenie odmalowało się na twarzy nauczyciela, dzieci znieruchomiały. Po chwili drogą do wsi biegł nauczyciel, a za nim pędziła gromada dzieciaków.

— —

Żołnierze niemieccy obietnicy dotrzymali. We dwa dni potem, przed południem zjechał do dworu oddział konnicy z 3-ma leutnantami na czele. Przyjęłam ich uprzejmie. Powiedziałam o istnieniu komitetu bolszewickiego, który miał klucze dworskie. Na rozkaz oficerów przyprowadzono dwóch członków komitetu (dwaj inni zwiali) i Szymona, który był blady jak ściana i padł mi do nóg, błagając o przebaczenie i o wstawienie się do ludzi, których języka nie rozumiał. Członkowie komitetu, wchodząc do pokoju, zdjęli papachy i pocałowali mię w rękę, czego nie robili już od chwili zagarnięcia władzy. Na ich tępych twarzach malowała się paniczna trwoga.

Pozwoliłam im odejść spokojnie, gdy przede mną położyli klucze i jakieś rachunki, których treści nigdy nie zrozumiałam.

Po załatwieniu formalności oddział niemiecki odjechał, a ja znów byłam panią sytuacji: mogłam wyjść na podwórze, mogłam oglądać nasze konie i krowy, mogłam spać spokojnie, nie obawiając się nocnego rabunku.

Szczerze dziękowałam Bogu za odzyskaną swobodę, którą w pełni rozumie tylko ten, kto ją utracił chociaż na krótki czas.

Kresowianka.

Któtki zarys

ROZWOJU NAUK ŚCISŁYCH W STAROŻYTNEJ GRECJI

II. OKRES HELLEŃSKI.

W pierwszem tysiącleciu przed N. Chr. państwo achajskie zostało rozbite przez potężne plemię Doryjczyków, co doprowadziło do szeregu przewrotów wewnętrznych w Grecji i nie pozostało bez wpływu na rozwój stanu naukowego wśród jej plemion.

W okresie tym, zwanym okresem „helleńskim", przedewszystkiem zaznacza się przyjęcie przez Greków alfabetu fenickiego, który dostosowali do potrzeb swego języka, wprowadzając w nim ważne ulepszenia, a następnie ułatwie-

nie systematycznej pracy naukowej przez zaprowadzenie wygodnego materjału do pisania. Przedtem pisano na murach i płytach kamiennych; Solon wycinał swoje prawa na tabliczkach drewnianych. Potem używano skór wołowych, skorupek glinianych i tabliczek woskowanych. Niedaleki Egipt posiadał już od najdawniejszych czasów doskonały materjał do pisania „papirus", wyrób z rośliny tejże nazwy, ale Egipt był zamknięty dla cudzoziemców, zazdrośnie kryjąc swoje wynalazki. Dopiero w okresie panowania faraona Psametycha (VII w. przed N. Chr.) otworzono Grekom wolny dostęp do tego kraju i Jończycy założyli tam swoją kolonję Naukratydę. Tą drogą dostał się papirus do Grecji, a z tym faktem wiąże się powstanie u Jończyków prozy pisanej i uznanie dialektu jońskiego za język prozy greckiej, aż do wyparcia go później przez dialekt ateński.

Wtedy jednocześnie (VII wiek) rozpoczyna się u Greków zainteresowanie wiedzą czystą, skupiającą się narazie około zagadnienia budowy wszechświata. Nauki ścisłe stanowią integralną część filozofji, tak zwanej filozofji natury i są z nią tak silnie związane, że mówiąc o nich, musimy ciągle zahaczać o poglądy filozoficzne greckich myślicieli.

Ku kierunkowi kosmogonicznemu popchnęła Greków przedewszystkiem religja Zeusa swoim dogmatem o Ziemi — prarodzicielce, przyczem ziemię pojmowano nietyle jako żywioł, ile jako bóstwo i w tem znaczeniu poeci, jak np. Hezjod, głosili jej odwieczność. Następnie pierwsze usiłowania naukowe w tym kierunku prawdopodobnie wywołane zostały potrzebą wytłómaczenia zjawiska ciągłej przemiany w świecie zmysłowym i chęć zbadania przyczyny będącej podstawą takiego stałego przeistaczania się materji. Podstawy tej dopatrywali się różni myśliciele greccy w różnych rodzajach materji, jak np. w wodzie, powietrzu, ogniu i t. p. Wszyscy szukali jakiejś ożywionej boskiej pra-materji, z której powstały inne otaczające nas materje. Widzimy więc, że mamy tu do czynienia już nie z naiwnemi pojęciami Achajczyków, lecz z pojęciami naukowo-ewolucyjnemi, obiecującemi rozwój żywotny.

Protoplastą kosmogonji greckiej był Tales z Miletu, współczesny Solonowi, jeden z siedmiu mędrców greckich, żyjący mniej więcej od 660 do 540 r. przed naszą erą. Historja mówi o nim, że nigdy rodziny nie założył i życia praktycznego się nie imał; patrzał w morze i gwiazdy, rozmyślając o rzeczach boskich. Wiadomości naukowe nabył poza granicami kraju: geometryczne od Egipcjan, astronomiczne od Chaldejczyków; w jego filozofji widoczne są tu wpływy semickie, gdyż przypisują mu takie zdanie: „Na początku były wody, a nad niemi unosił się duch Boży; ten duch to ogień i ogień z toni wód wywiódł życie". Starożytność nazwała go pierwszym astronomem, przyrodnikiem, matematykiem i filozofem; był on założycielem t. zw. szkoły jońskiej, której adepci zyskali miano „filozofów natury".

Zauważywszy, że wilgoć jest podstawą odżywiania się i życia, Tales zadecydował, że woda jest tą pra-materją, z której powstały inne; woda i nieskończone morze jest źródłem życia, a nawet bytu, gdyż wszelkie nasienie jest albo samo wilgotne, albo potrzebuje wilgoci dla kiełkowania; ziemia powstała z wodnego osadu, a powietrze z wody parującej; inni filozofowie jońscy zastąpili wodę powietrzem, inni zaś ogniem, inni znów nieokreśloną bliżej materją pierwotną. Oczywiście podobne wyjaśnienia nie mogą być nazwane nawet hypotezami; były to tylko powietrzne zamki przyrodoznawstwa, pierwsze budowle, dla których nie ustawiono jeszcze żadnego fundamentu nauki eksperymentalnej. Ważnem jest jednak to, że pojęcia te stanowczo wyłączały z rozumowania wszelki pierwiastek nadnaturalny, mitologiczny i stawiały naukę w stan od niego niezależny.

Wielkie wrażenie na umysły współczesnych wywarł Tales udałą przepowiednią, że „za dnia noc nastąpi, słońce się zakryje i księżyc przed niem stanie“. Dotyczyło to zaćmienia słońca, które odbyło się 28 maja 585 r., a w przepowiedni swej opierał się on prawdopodobnie na nabytej u Chaldejczyków znajomości okresu „saros“, obejmującego 6585 dni i 6 godzin, po którym zaćmienia powtarzają się w porządku poprzednim. Potomni przypisują mu wiele innych odkryć astronomicznych, jak wyznaczenie drogi słońca między dwoma zwrotnikami, naukę o kulistości ziemi, jej położenia jako środka świata, zodjak i podział nieba na pięć pasów; gwiazdy wyobrażał sobie jako ogromne głazy otoczone boskim ogniem.

Późniejszy historyk Plutarch, mówiąc o jego pracach w dziedzinie matematyki, opowiada, że zadziwił on faraona Amasisa obliczeniem wysokości piramidy z jej cienia, zauważywszy, że o tej samej porze dnia wysokości wszelkich ciał są zawsze w tym samym stosunku do długości swego cienia. Inni pisarze przypisują mu również odkrycie wielu twierdzeń geometrycznych, jak to, że kąty oparte na średnicy koła są proste, dowód o równości kątów przypodstawnych w trójkącie równoramiennym, dowód drugiego przypadku przystawiania trójkątów i rozwiązanie zadania: znaleźć odległość okrętu od portu i wiele innych. Jakie były dowodzenia tych twierdzeń, nie wiemy, lecz sama ich potrzeba wskazuje już na czysto idealne, a nie praktyczne względy odkryć matematycznych pierwiastków Greków, odsłania nam charakter ich początkowych wiadomości naukowych, słowem rzuca światło na pierwsze zaczątki wiedzy ścisłej.

Wobec tego, że nie posiadamy oryginalnych pism Talesa i innych greckich myślicieli tej epoki, trudno obecnie rozstrzygnąć, co właściwie im samym przypisać należy, co przyjęli od swych mistrzów egipskich i babilońskich, a co pochodzi od ich następców. Wszelkie wiadomości o nich doszły do nas za pośrednictwem pisarzy późniejszych. Jakkolwiek ich wiadomości kosmogonicz-

ne były nieraz bardzo naiwne, to jednak przyznać trzeba, że stanowiły już ogromny postęp w porównaniu z pojęciami ich poprzedników. Nauki ścisłe pozostowały wprawdzie wciąż w ramach filozofji, a więc obcą im była wszelka metoda doświadczalna, zaprzeczyć się jednak nie da, że podtrzymywały podniosłość myśli i dawały podnietę do dalszych badań naukowych, które okazały się tak przydatne nawet dla wiedzy współczesnej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zygmunt Dąbrowski.

Wyższy stopień humanizmu polskiego

(Górnicki a Platon.)

Po rozprawie o „Ciceronie w Dworzaninie“ z 1927 r. zajął się ostatnio profesor Uniw. Pozn. dr. Roman Pollak „Elementami platońskiemi“ w tem samem dziele Górnickiego i w artykule wydrukowanym w najnowszym zeszycie „Pamiętnika Literackiego“ (1931. z. II str. 267—275) wykazał, że „Górnicki jest jednym z niewielu naszych humanistów mocno platonizujących“, albowiem bardzo liczne wzmianki o Platonie i jego dziełach, pochodzące od samego Górnickiego, dowodzą szerokiego oczytania naszego humanisty w greckim mistrzu. Opierając się na jego własnych słowach i na analizie tekstu włoskiego oraz polskiego „Dworzanina“, stwierdził autor rozprawki, że „naszemu tłumaczowi znane były następujące dialogi Platona lub Pseudo-Platona: Uczta, Protagoras, Fajdros, Fedon, Timaios, Lysis, Politikos, Alcibiades prior“. Dalszem źródłem myśli platońskich w „Dworzaninie“ było studjum zabarwionych platonizmem pism Cicerona, Plutarcha i mistrza Akademji florenckiej Marsylja Ficina, który dzieła Platona doskonale przekładał i subtelnie w duchu nowoplatońskim komentował. Pisma jego i platońskie przekłady Górnicki znał, cytował je i wysoko cenił. Nic więc dziwnego, że do swej przeróbki włoskiego „Dworzanina“ zaczerpnął wiele wątków platońskich wprost z greckiego mistrza i autorów z nim silnie związanych, a nie z Castigliona. Dlatego też prof. Pollak, zestawiwszy znaczną ilość miejsc polskiego „Dworzanina“ z tekstami Platona w łacińskim przekładzie Ficina i jego komentarzem, dochodzi w zakończeniu rozprawki do wniosku, że „Dworzanin polski Górnickiego jest w naszej kulturze złotego wieku bardzo wybitnym przejawem kultu Platona, opartym na rozległem studjum pokaźnego szeregu platońskich i platonizujących tekstów“. To zainteresowanie się ze strony Górnickiego Platonem wprowadziło według prof. Pollaka naszego „Dworzanina“ - a z nim oczywiście także humanizm polski - na wyższy stopień odrodzenia starożytności, jak to o humaniźmie włoskim wyraził się w swej „Kulturze Odrodzenia“ J. Burckhardt, widzący w filozofji nowoplatońskiej najwspanialszy owoc renesansu.

Jan Ujda

Z folkloru Poznania

Do niewątpliwych osobliwości Poznania, rzucających się w oczy, zwłaszcza przyjezdnym, należą typy Bamberek, spotykane nierzadko na ulicach miasta.

I dzisiaj, kiedy strój ludowy zanika prawie, kiedy nawet góral zrzuca swój kożuch i prześliczną cuhę, zamieniając ją na skórzaną kurtkę, a góralka miast tradycyjnych kierpców ubiera na nogi zgrabne pantofelki, a zimą śniegowce, oryginalne stroje bamberskie mieszkańców przedmieść Poznania są co najmniej fenomenem w obecnych czasach upraszczania sobie przez lud życia tanim, tandetnym ubiorem miejskim.

Zanim jednak przyjrzymy się Bambrom bliżej, należałoby przypomnieć ich historję.

Kiedy w roku 1709 wybuchła w Poznaniu zaraza, która pochłonęła około 9000 ludzi, trwoga padła na miasto. W okolicznych wioskach: Ratajach, Dębcu, Lubaniu, Wildzie, Jeżycach, Winiarach i Górczynie prawie wszyscy wieśniacy wymarli. Gminy te płaciły miejskiej kasie dość znaczne podatki, skarb miejski wskutek tego odczuł podwójnie skutki okropnej klęski. Opustoszałe wioski trzeba było koniecznie zaludnić.

Zwyczajem utartym wówczas rozesłano listy do Niemiec, zachęcając w nich ludność do osiedlania się w Poznaniu i jego okolicy.

I tak w r. 1719 przybyło z Bambergu 30 rodzin. Z przywiezionych przez nie papierów stwierdzono, że wieśniacy przybyli stamtąd są wszyscy katolikami. Osiedlili się oni w Lubaniu i Dębcu.

W ten sposób zaludnione zostały Rataje między rokiem 1730—40, a Wilda między 1745—49.

W r. 1847 umarła na Ratajach staruszka licząca przeszło 100 lat, nazwiskiem Handschuh, która często opowiadała o tem, jak to ona wraz z ojcem i ich całym dobytkiem przyjechała na taczkach z Bambergu do Poznania.

Dzięki swej pracowitości doszli Bambrzy wkrótce do dostatku. Przez sto lat zatrzymali swoje zwyczaje i obyczaje, a przedewszystkiem mowę. Zczasem zapomnieli jednak o swej ojczyźnie i mowie i dzisiaj nie różnią się pod tym względem od reszty mieszkańców Poznania. Zatrzymali tylko swój dawny strój.

Strój bamberski różni się krojem i kolorem od innych ubiorów w Wielkopolsce i jest naprawdę barwny i bogaty.

Kobiety w niedzielę, święta i uroczystości noszą szerokie, fałdziste spódnice na wzór krynolin. Używają w tym celu pod nie pasów ze sprężyn, podobnie, jak w materacach, na których spódnica wznosi się w piękny krąg na biodrach.

Na spódnicę przychodzi fartuch tiulowy, lub batystowy. Kobiety starsze noszą czarne kaftany z jedwabnej mory, nawierzch których przychodzi koron-

kowa chustka, wiązana ztyłu na krzyż. U pasa chustka do nosa obszyta koronką.

Idąc do kościoła, niosą książeczki do nabożeństwa owinięte w białą chusteczkę także z koronką, nietyle dla ozdoby, o ile dla ochrony okładki książeczki, dla której wogóle wszyscy wieśniacy mają wiele poszanowania, i dlatego zwyczaj ten spotyka się w całej Polsce.

W dnie targowe strój ten jest o wiele prostszy. Spódnice zwłaszcza spadają już swobodnie na biodrach. W rękach Bamberek widzi się misternie robiony koszyczek, używany do zakupów, — a w lecie kapelusz słomkowy w kształcie kapuzki, zwany kipą, który ubierają tylko wtedy, gdy słońce mocniej przygrzeje.

Najbardziej oryginalnem jest oczywiście nakrycie głowy, na które składa się piękny, koronkowy, rurkowany czepiec, chustka i wstążki. Jeszcze ciekawszem jest nakrycie głów dziewcząt, używane jedynie do ślubu, na procesję Bożego Ciała i wogóle przy wielkich uroczystościach, — jest to tak zwany kornet, — rodzaj piramidy, czy stożka z kwiatów i wstążek. Dziewczęta ubierają się też najczęściej w szafirowe, lub amarantowe suknie, gdyż te kolory należą u nich do najulubieńszych.

Strój Bambra zaginął zupełnie. Widzimy go już teraz tylko w muzeum. Składa się na niego czarna opończa z pętlami i guzami, pod spodem lajbik zapinany na guziki i kapelusz z czarnej, miękkiej pilśni.

W bogatych zbiorach ludoznawczych im. Heleny i Wiesławy Ciechowicz, mieszczących się w Muzeum Wielkopolskiem znaleźć można wogóle wiele ciekawych eksponatów, ilustrujących tak strój, jak i sprzęty Bambrów. W jednej z witryn widzimy tam stół bamberski, unikat stary z dużą szufladą, zydel i kredensik malowany. Meble te przypominają nieco styl sprzętów zakopiańskich i gdańskich. Na kredensie stoją dzbany kamienne do piwa, staroświecki garnek do kwaszenia żuru, pudełko do przechowywania kornetu. Na ścianach wiszą obrazy z typami Bamberek. Zbiory te stale powiększają się dzięki ofiarności Bambrów.

Jadwiga Makośińska.

Materjały dla przyszłego historyka kultury

naszej epoki.

CAŁOWANIE RĄK.

Ministerstwo W. R. i O. P. zakazało w szkołach całowania rąk przełożonym i uczącym. Lekarze skonstantowali, że ten obrzydliwy zwyczaj, najszkodliwszy i najgłupszy zabytek szlacheckiej kultury, ogromnie przyczynia się do szerzenia wśród dzieci gruźlicy, gdyż zakażona ślina, pozostawiona na ręce nauczycielki, trafia do ust całujących tę rękę dzieci zdrowych. Szkoda, że demokratyczna Polska musiała czekać aż 12 lat na wyrwanie z naszego życia chwastu, który szerzył straszliwe spustoszenia.